

Mistrzynie
Swojego Życia
Żonglująca Matka

KINGA BOGDAŃSKA

Mistrzynie
Swojego Życia
Żonglująca Matka



Warszawa 2017

[Kup książkę](#)

Korekta pierwsza:
Grażyna Dobromilska

Korekta druga:
Paulina Pucia

Projekt okładki:
Marzena Zajkowska, www.mozaiko.pl

Ilustracje:
Agnieszka Białecka-Rutkowska, @kreskiAgi (facebook)

Skład:
Norbert Kozłowski

©Copyright 2017 Kinga Bogdańska

ISBN 978-83-946584-6-5

Droga Czytelniczko,

Książka, którą nabyłaś jest dziełem autora. Proszę, abyś przestrzegała praw, jakie mi przysługują. Jej zawartość możesz oczywiście udostępniać nieodpłatnie osobom bliskim lub osobiście znanym. Nie publikuj jej proszę w Internecie. Jeśli cytujesz jej fragmenty, nie zmieniaj ich treści i zaznacz czyje to dzieło. A kopiując jej część, rób to jedynie na użytek osobisty. Szanuj cudzą własność.

Autor nie ponosi żadnej odpowiedzialności za ewentualne szkody wynikłe z wykorzystania informacji zawartych w książce.

www.kingabogdanska.com



Książkę dedykuję

Moim Dzieciom, które są dla mnie największą wartością i Skarbem. Dziękuję Wam za to, że Jesteście, KOCHAM Was nad życie i bezwarunkowo. Bez chwili zastanowienia skoczyłabym za Wami w ogień.

Codziennie Jesteście dla mnie inspiracją i tlenem dla moich dzieciaków, dla mojej duszy. Bez Was nie napisałabym tej książki.

Dziękuję również wszystkim DOBRYM ANIOŁOM, które pomogły mi przy realizacji mojego marzenia i dzięki nim trzymasz tę książkę w rękach.

Dziękuję.

Spis Treści

Kim Jestem?	9
Wprowadzenie	25
W drogę do Swojego Mistrzostwa!!!	27
Jak korzystać z tej książki?.....	29
Zadania od Kini	35
Kim są: Mistrzynie Swojego Życia i Żonglująca Matka?	41
Żonglująca Matka	43
Mistrzynie swojego Życia, a UKRYTY SKARB	49
UKRYTY SKARB część 1	53
Jaka jesteś, Żonglująca Matko?.....	61
Jak wygląda Twój diament?	69
Jesteś tym, co o sobie myślisz.....	75
Wewnętrzny system nawigacji.....	87
Matczyna schizofrenia.....	99
Misja życiowa	105
Mam TALENT, masz TALENT.....	111
Pokochaj siebie	121
Pudełko przyjemności	123
UKRYTY SKARB część 2	127
Moc przebaczenia	131
UKRYTY SKARB część 3	139
„Czego dzisiaj nie zaczniesz, jutro nie skończysz”	143
Wizja Twojego Mistrzowskiego Życia. Jak to będzie?	157
Wy płyn na swoje morze życia.....	165
Co Cię powstrzymuje?	173
Siedem krasnoludków w drodze do Twojego Mistrzostwa.....	181
Koniec i nowy początek	187




Kim Jestem?

Jestem kobietą, mamą dwóch cudownych synów, siostrą, przyjaciółką, kumpelą, nieznajomą, wsparciem w trudnych chwilach, inspiratorką, trenerem terrorystą, kobietą przedsiębiorczą... można wymienić bez końca.

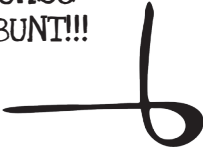
Ale może zacznę od początku. Urodziłam się w domku mojej babuni, „w czepku na głowie” w małej historycznej miejscowości na Podlasiu, w Drohiczynie. Jako drugie dziecko moich rodziców. Odkąd sięgam pamięcią, zawsze było mnie pełno. Jak nie pakowałam się w kolejne kłopoty, to organizowałam jakiś teatrzyk, budowałam szałas z bratem, gotowałam uzdrawiający wywar z ziół albo po raz kolejny pakowałam swój tobołek i szłam w świat szukać zrozumienia. Często przyprawiałam mojego tatę o zawał serca, gdyż znajdował mnie spacerującą po szczycie szklarni nad wysypiskiem szkła albo zaprzyjaźniałam się ze sforą wściekłych psów biegających po polach. Zdarzało się też, że wyciągał mnie z bagna, gdyż stwierdziłam, że prosta droga do domu jest nudna lub wysadzałam w powietrze wielką skrzynię szkła, ponieważ wpadła mi w ręce encyklopedia małego chemika z przepisem na proch domowej roboty. Teraz, jako mama, bardzo mu współczuję i dziękuję niebiosom, że moi synowie tylko częściowo odziedziczyli po mnie nieograniczoną ciekawość i brak lęku przed poznawaniem i eksperymentowaniem. Chociaż im też niczego nie brakuje. O nie!

Moja rodzina nie była bogata. Jak to się mówi, nie przelewało się. Rodzice mieli szklarnie z warzywami. Od 2 roku życia pracowałam w tych szklarniach. Serio! Mając 2 lata sadziłam kapustę. Wstawaliśmy o 4 rano i pracowaliśmy do 10 rano... potem było za gorąco... i potem znowu od 18... sadzenie, pielęgnowanie, podlewanie, zbieranie... Do mnie należał również handel wyprodukowanymi warzywami... Jako 5-letnie dziecko liczyłam, jak stara... Babunia donosiła kanapki lub placuszki ziemniaczane i kompocik... Bywało manko... I tak wiele lat...

Było wiele krytycznych momentów, w których nienawidziłam siebie, życia, rodziców, tych piep... pomidorów... Inne dzieci się bawiły, a ja miałam obowiązki dorosłego człowieka... Rozliczana byłam też jak dorosły... Niestety nie szło to w parze z codziennym traktowaniem... Pamiętam swój bunt co do ubrań: obciachowe kokardy i falbanki!!! Jezus! Ja chciałam spodnie i trampki, bo marzyłam o tym, by szaleć z chłopakami, a nie stać i wyglądać...



Uwaga!!! Teraz apel: jeśli zlecasz swojemu dziecku dorosłe obowiązki, to traktuj je też jak dorosłego, pozwól podejmować swoje decyzje, popełniać błędy i ponosić konsekwencje, inaczej rodzi się w dziecku BUNT!!!
I niezgoda, i brak Spójności!



Jeśli chciałam kupić sobie coś ekstra, to musiałam zarobić: więc jeździłam zbierać truskawki, fasolkę, porzeczki, oczywiście dopiero wtedy, kiedy zrobiłam to, co miałam w domowych obowiązkach. Wielkim wsparciem była Babunia. Najukochańsza istota na świecie. Zawsze rozumiała, zawsze słuchała, zawsze broniła i zawsze wspierała stówką na drobne wydatki.

Miałam 10 lat, mój świat się zawalił. Akurat spędzałam wakacje u cici, kiedy dowiedziałam się, że mój ukochany tatuś zmarł. Że go nie ma. Tak po prostu. Moje dzieciństwo i moje wakacje się zakończyły. Z dniem 27 sierpnia 1991 roku stałam się dorosłą i odpowiedzialną osobą, która musiała nosić na swoich barkach obowiązki i problemy dorosłego człowieka. Moja mama powierzała mi wszystkie swoje rozterki i problemy... Rodzeństwo mi zazdrościło, uważało, że jestem wyróżniana. Nawet nie wiedzieli, jak bardzo tego nie chciałam. Dopiero potem moja siostra zrozumiała,

gdy ja wyjechałam do Warszawy, a ona przejęła obowiązki. W tamtym okresie mój ukochany brat, z którym byłam najbliżej, mało bywał w domu. Ciągle w szpitalach. Strasznie się o niego bałam. I bardzo tęskniłam. Nie było ojca, nie było Radzia... była szara rzeczywistość i obowiązki.

Teraz, gdy patrzę na moje dzieci zastanawiam się, skąd ja brałam siły na to wszystko: na pracę fizyczną podczas dźwigania skrzyń z pomidorami cięższymi ode mnie, na palenie w wielkim piecu, na obowiązki szkolne moje i mojego młodszego rodzeństwa... Dostałam odpowiedź podczas terapii... Przypomniałam sobie, jak jednego dnia, gdy miałam dość wszystkiego, postanowiłam sobie, że zrobię wszystko, by stamtąd wyjechać, by żyć inaczej, by robić co innego. Każde moje działania podszyte były tą decyzją z dzieciństwa.

Ogromne wsparcie stanowiła dla mnie Babunia. Każdego dnia wracając ze szkoły zachodziłam do niej na pyszne kanapeczki, placuszki, kotleciki. I herbatę gotowaną grzałką. Niestety przyszedł dzień, w którym Babunia zachorowała. Po roku walki odeszła. I została pustka. Wielka pustka, której nikt i nic nie mogło zapełnić. Radzio mieszkał w Białymstoku. Młodsze rodzeństwo miało swój świat. A ja miałam swój cel – wyjechać stamtąd i robić to, co kocham.

Jaka wtedy byłam? Hmmmm... chyba taka jak teraz, tylko bardziej szalona i spontaniczna... bardziej ufająca ludziom, kolorowa. Wszędzie było mnie pełno. Najwięcej przy sprawach twórczych i organizacyjnych. W liceum byłam jedyną Kinią, więc jak się mówiło, a dużo się mówiło o mnie, to wiadomo było, kto to. W trzeciej klasie postanowiłam zostać wolontariuszką i pracowałam pomagając przy rehabilitacji małej Ani. Ten czas dawał mi wiele radości i siły. Postanowiłam pójść na pedagogikę specjalną. Bardzo się to kłóciło z pomysłami mojej rodziny: medycyna, prawo, stomatologia. Ale nie pedagogika.

Oczywiście ze mną nudy nie było, więc kiedy podczas matury ubzdurałam sobie, że na pewno napisałam nie na temat pracy z polskiego i że nie zdam, postanowiłam pójść do zakonu. Ale nie byle jakiego. Musiało być inaczej. Choćby z ubraniem. Podjęłam decyzję, że idę do Krakowa do zakonu sióstr sercanek. Miały fajne habity. Tony łez, histeria... moja i mojej rodziny. Ciociunia włosy prawie rwała. Ale to nie był koniec. Kiedy okazało się, że zdałam i to na bardzo dobry raz: bałam się wrócić do domu, a dwa, w drodze do domu przypomniało mi się marzenie z dzieciństwa: BYĆ CYRKÓWKĄ!!!! Ciozia prawie zemdląta ze słowami na ustach, co ona powie znajomym. Na jej szczęście nic nie musiała mówić, bo nie było już naboru do Julinka. Zamykali go!! No ale został mój wcześniejszy pomysł: pedagogika specjalna w Warszawie. Nie w Białymstoku, gdzie przebywała cała rodzina i mogłaby mnie kontrolować, ale tam, gdzie nie ma kontroli. Oczywiście rodzina nie za bardzo wierzyła w moje siły i możliwości i załatwiła mi studia na uniwersytecie w Białymstoku na kierunku pedagogika wczesnoszkolna. Egzamin w Białymstoku odbywały się tydzień wcześniej niż w Warszawie. Nawet nie wiesz, jaką idiotkę musiałam z siebie zrobić, jakiego cymbała i nieuka, żeby mnie wykreślili. Za to w Warszawie na 300 osób zajęłam 3 miejsce. Niestety cieszyłam się tylko ja. Nikt mi nie pogratulował. Wszyscy byli zawiedzeni. Nawet ostatnio usłyszałam, że olałam wysiłki włożone w załatwienie uniwersytetu. Mi to lotto, jak to mówią. Postanowiłam i tak zrobiłam...

Czy była to dobra decyzja? Oczywiście! Najlepsza, bo Moja.

Czy było łatwo? Oczywiście, że nie. Z domu otrzymywałam 300 zł, za które miałam się utrzymać. Zaczęłam pracować: sprzątałam 2 razy w tygodniu, byłam asystentką agenta ubezpieczeniowego, opiekowałam się dziećmi, prowadziłam aerobik. I to wszystko między zajęciami. Studiowałam dziennie. Byłam świetnie zorganizowana. Nie czułam się zbyt dobrze w Warszawie, gdyż jest inna niż miejsce, z którego pochodzę, ale z biegiem czasu polubiłyśmy się i się szanujemy.

Mając 22 lata urodziłam mojego pierwszego syna. Nie miałam wsparcia rodziny. Kiedy wróciłam na salę po porodzie i zadzwoniłam do bliskich, żeby się pochwalić, żeby powiedzieć, że jest cudny i prawie zdrowy, usłyszałam, że się na mnie zawiedli. Bo myśleli, że będę KIMŚ. Zabolalo. Ja byłam KIMŚ. Urodziłam cudnego syna. Jestem dla niego kimś. Te słowa spowodowały jeszcze większą determinację we mnie: Ja wam pokażę!!!

Po ukończeniu studiów nie przepracowałam ani minuty jako surdopedagog. Miałam już swojego osobistego i wymagającego ucznia.

Zacząłam szukać miejsca dla siebie, miejsca, gdzie będę się czuła dobrze, będę się czuła spełniona. Od dziecka lubiłam prace manualne, lubiłam z brzydkiego robić ładne, ze starego nowe. Skończyłam szkołę wizażu i stylizacji i zaczęłam swoją przygodę ze światem beauty, gazet, telewizji, polityki... Aż wreszcie poczułam, że mogę też dać ludziom więcej... ukończyłam szkołę trenerską i zaczęłam dzielić się swoją kilkuletnią wiedzą z zakresu wizerunku, stylizacji, makijażu... Bardzo mi się to podobało... Po każdym dniu szkoleniowym czułam, że żyję, że mam naładowane baterie... W tym też czasie pracowałam w firmie ubezpieczeniowej, szkoląc pracowników biura. A jak się skończył projekt, zatrudniono mnie w telecentrum. To było świetne doświadczenie. Nowi ludzie, nowe wyzwania, swoboda, kreatywność...

A prywatnie? Zostałam samodzielną mamą. Było trudno. Bez wsparcia bliskich. Mając pomoc tylko niani. Ale wiedziałam, że dam radę. Miałam cel – własna firma.

Dla syna znalazłam świetną szkołę, w której czuł się bardzo dobrze. Był wesoły, zadowolony. Ja zmieniałam dzięki tej szkole sposób żywienia i podejście do odpoczynku. Zajęłam się sobą. Swoim rozwojem. Poukładałam wiele „rozbitego w dzieciństwie”. Zaczęłam czuć się dobrze z sobą. Kochałam siebie. Przy boku miałam mężczyznę,

którego kochałam, który mnie kochał i szanował, a co najważniejsze, kochał mojego syna i akceptował go takim, jakim jest. Niestety był to mężczyzna żonaty. I za takie związki płaci się ciężką karę. Wszyscy byli nieszczęśliwi. Dzięki temu doświadczeniu wiem, że na czymś nieszczęściu nie da się zbudować swojego szczęścia. A dwa, że przyjdzie czas, gdy się za ten błąd zapłaci. Łzami, roztrzaskanym sercem, pustką... Ale podobno czas goi rany i pokazuje, jak wyglądała rzeczywistość. Dzięki tym doświadczeniom zrozumiałam, że ptaszkiem w złotej klatce nie będę, że potrzebuję wolności, samostanowienia. JA od tamtej pory jest mocno ze mną.

Kiedy firma ubezpieczeniowa nie mogła mi już zaproponować nic więcej, podjęłam decyzję. Zakładam firmę! Zajęło to rok. W dniu 1 lipca 2011 roku otworzyłam swoją własną osobistą działalność. Oczywiście, jak każda osoba zakładająca biznes liczyłam, że teraz to będę miała mnóstwo czasu dla siebie i dla syna... Jakże się sromotnie pomyliłam.

Kiedy firma liczyła już rok czasu – ja byłam w niej kosmetyczką, wizażystką, trenerem, coachem, handlowcem, księgową, marketingowcem, grafikiem, informatykiem... No i oczywiście mamą. Mamą, która podjęła się kolejnego trudnego wyzwania – nauczania domowego. Mój dzień zaczynał się o 5 rano, a kończył o 2-3. Potem przyszedł czas bezsenności – trzy tygodnie bez snu. Czułam się zmęczona, sfrustrowana... I byłam z tym sama... bo wewnątrz nie czułam, że przecież nikt nie może mi pomóc.

To, co robiłam, nie przynosiło mi radości. Byłam wiecznie przygnębiona. Brakowało mi pewności siebie i spełnienia. Mój syn mówił, że go nie kocham, bo chodzę do pracy, a inne mamy nie. Moje życie wypełniała frustracja, kiedy próbowałam zonglować między zadaniami rodzicielskimi, a życiem biznesowym. Odczuwałam złość, rozczarowanie i smutek, a zaraz potem wyrzuty sumienia, że się takie uczucia pojawiały.

Brakowało mi osoby, z którą mogłabym się podzielić swoimi rozterkami. Łapałam wiele srok za ogon i nic z tego nie wychodziło. Brakowało mi czasu dla siebie. Na rozwój, zadbanie o siebie, na relaks.

Przyszła chwila kulminacyjna...

Kryzys... Cały weekend leżałam, jak nieżywa... Z niedzieli na poniedziałek wzięłam „prochy” z nadzieją, że się już nie obudzę... Obudziłam się po 18 godzinach... Zrozumiałam, że otrzymałam drugą szansę... Postanowiłam więc wszystko zmienić... Zaczęłam szukać...

W związku z tym, że od zawsze byłam osobą poszukującą i odbyłam już w życiu wiele szkoleń, warsztatów i treningów, postanowiłam odszukać materiały i ułożyć plan „sprzątnięcia” ... Ja to wszystko miałam w sobie. Musiałam sobie uświadomić, że jest problem i poszukać rozwiązania. Zajęło mi to dwa lata. Poukładanie. Transformacja siebie. Eksperymentowanie. Sprawdzanie co działa, a co nie, z czym jest mi dobrze, co można łączyć z rolą matki i bizneswoman. Douczanie się na nowych treningach. Praca z mentorami. Selekcja i przerabianie narzędzi.

Przyszła chwila, w której poczułam, że to jest właśnie ten stan, w którym czuję się szczęśliwa. W którym czerpię radość z życia dzięki temu, że zaczęłam stosować te narzędzia. Moje wszystkie „słoiki” zostały uzupełnione. Relacja z synem stała się bardziej luźna i radosna, a określenie mojej misji życiowej pomogło mi sformułować, co konkretnie chcę robić...

Sześć miesięcy w Bieszczadach. Mówią, że tam można odpocząć. Ja tam straciłam siebie. Pracowałam przy dużym projekcie szkoleniowym. Miałam dużo obowiązków, mało snu. Co weekend przyjeżdżałam do Warszawy do syna, który został z moim bratem

i przyjaciółką. To był mega trudny i wykańczający czas. Do tego moja ogromna wiara w ludzi legła w gruzach. Ja jestem fighterem. Nie poddam się bez walki. Do tego, jak coś robię, to na 100%. A tam tak się nie dało. Ludzie nie chcieli dawać z siebie. Chcieli tylko brać. Dając nadwerżyłam swoje zbiorniki. Miałam dość. Nawet wysłałam zamówienie, że przydałby się ktoś do pomocy w życiu. Oczywiście się znalazł. Wielka miłość, szybkie plany. Namówił mnie na zmianę moich planów. Pomysły przeprowadzkowe. Czyste wariactwo. Oczywiście z upływem czasu zaczyna działać mózg. Zaczyna się widzieć to, czego się nie widziało. To co było super na początku, zaczyna denerwować.

Decyzja o rozstaniu zbiegła się z informacją o ciąży! Czulałam się jak w pułapce!!! Sama zamknęłam siebie do klatki. I wyrzuciłam kluczyk. Niestety nie tylko siebie. Syna także. A on nie chciał tam być. I zaczęły się mega problemy. Moje, jego, nasze... Cięża to był okropny czas. Wiele kobiet mówi, że to czas błogostawiony. No niestety, nie dla mnie. Czulałam się źle psychicznie (brak stabilizacji finansowej — jak ja nie pracuję, to firma nie zarabia, brak zrozumienia, kłopoty z synem, bunt) i fizycznie (bezsensowność, wymioty, bóle brzucha, mega huśtawki emocjonalne przez cały okres). Nienawidziłam samej siebie. Za to, co zrobiłam sobie i mojemu synowi i kolejnemu dziecku. Przecież nie tak to miało wyglądać.

Więc jeśli w fazie kryzysu przyjdzie Ci do głowy, żeby poszukać kogoś do pomocy, to wyjedź do Leśniczówki, bez zasięgu i ludzi- nie w Bieszczady ;), poczekaj aż mózg wróci na miejsce i wtedy się zastanów, co możesz zrobić z tą sytuacją i jak ją rozwiązać... Na pewno nie jest wyjściem męczyzna do związku! To nie tylko moje zdanie.

Huśtawka relacyjna trwała dalej... Ja, mając wcześniejsze doświadczenia wiedziałam, że chcę razem wychować kolejne dziecko... Tylko jak to zrobić? Starszy syn zbuntował się i postanowił, że nie wyjeżdża z kraju. Przeprowadza się do swojego taty. To była trudna decyzja, ale stwierdziłam, że może i słuszna. Że jest mu potrzebne to doświadczenie. Ja w tym czasie miałam poukładać swoje relacje z tatą Malucha. Jak się starałam i dawałam z siebie, to działało, jak nie, to nie działało. Mądra pani psychiatra powiedziała, że nie da się kochać za dwoje. Nie da się być za dwoje. Miała rację.

W miarę spokojnie poukładaliśmy sprawy związane z Maluchem. Tak wtedy uważałam. Niestety, wszystko okazało się tylko złudzeniem.

Jeśli masz taką sytuację, nie wierz na słowo, spisuj, idź do sądu, do prawnika. Nie robisz tego dla siebie, lecz dla spokoju dzieci. Ja niestety byłam głupia. Wierzyłam. I teraz ponoszę tego konsekwencje. Nie mogę odzyskać synka. Jest przetrzymywany przez swojego tatę na Ukrainie. Ale nie poddam się.

Kiedy Maluch miał 3 miesiące zrealizowałam pomysł, który kiełkował we mnie długo. Program rozwojowy online. Grupa liczyła 500 osób. Kobiety i mężczyźni. Nawet nie wiedziałam, że taką wartość dają ludziom. Ja z Maluchem na ramieniu, pisząca z kolejnymi uczestnikami... prawdziwa żonglująca mama.

Kiedy w przeddzień moich trzydziestych piątych urodzin zmarł mój ukochany brat Radzio, świat mi się zawalił. To raz. Dwa, zobaczyłam prawdziwe oblicze taty mojego Malucha. To prawda z powiedzeniem: prawdziwych przyjaciół poznaje się w biedzie! A trzy, poznałam nową siebie: taką, która potrafi odpuścić, wybaczyć, dać szansę. Niestety, szansę, z której nie wszyscy chcą skorzystać.

Rok po śmierci brata był trudny. I emocjonalnie – nie mogłam przejść szablono-wo żałoby. I rodzinnie. Starszy syn wyprowadził się do swojego taty i nie czuł się szczęśliwy. Mnie pękało serce. Ale mieszkałam na drugim końcu Warszawy i nie mogłam mu biec z pomocą w każdym momencie. Podjęłam decyzję o przeprowadzce bliżej. Olo wrócił jednak do mnie. Ja się cieszyłam, on się cieszył, a Maluch był przeszczęśliwy, bo uwielbiał swojego starszego brata.

Sielanka trwała, przerywana jakimiś moimi zasłabnięciami lub gorszymi dniami.

I nagle, jak grom z jasnego nieba padła diagnoza. Myślałam, że nieszczęścia świata już mi odpuszczą i na trochę dadzą odechnąć... niestety... Kiedy z ust lekarza usłyszałam słowo: leukemia... oblał mnie zimny pot... Nie wierzyłam, że to możliwe... Mam prawie trzydzieści sześć lat, dwóch synów do wychowania, pełno pomysłów, niezrealizowanych marzeń... I co? To ma być koniec? Tak po prostu? Zaczęłam negocjować ten fakt!

Potem nastąpiło targowanie się z opiekunami „na górze”... Zala- pałam dół, a potem po prostu zamilkłam w akceptacji... Podjęłam działania układania wszystkich spraw, żeby nie zostawić po sobie bałaganu: firmą, dzieci, relacje z bliskimi... Nie mówiłam nikomu, bo nie chciałam robić kłopotu. Z drugiej strony miałam wrażenie, że jak głośno powiem „rak”, to on się jeszcze bardziej zmateri- alizuje. I już na pewno będzie realny i prawdziwy...

Czułam się potwornie samotna i bezbronna... Sama z ciężarem... Ramiona ważyły z tonę, dźwigając ciężar codzienności... Przyja- ciele czuli, że coś się dzieje, nie pytali za wiele, po prostu byli, po- magali, wspierali, robili zakupy i gotowali, jak widzieli, że nie mam siły sobie ugotować. Dzieci były zadbane... tylko ja nie potrafiłam zaopiekować się sobą... zawsze na końcu...

Jako pierwszy dowiedział się starszy syn, to była trudna dla mnie i dla niego rozmowa... Widziałam, że wydorósł po niej... a dla mnie to było usłyszenie samej siebie... trudne bardzo... nie spałam całą noc... Zadawałam sobie pytanie, czy warto śnić, czy warto marzyć lub tęsknić do tego, czego się jeszcze w życiu nie doświadczyło? Jaki sens miałoby moje życie, gdybym przestała szukać, marzyć, dążyć do jakiegoś celu? Czy mogę sobie pozwolić na brak wiary w realizację swoich celów? Wiedziałam, że jak się poddam, to przegram „z nim” walkę.

W dniu 16 lipca, w przeddzień moich trzydziestych szóstych urodzin, siedziałam przy grobie brata w rok po jego śmierci zastanawiając się, jaki ten los jest zaskakujący. I w jakiej formie będzie mi dane być za rok.

Z natury jestem wojowniczką, więc po dniach ciężkich i smutnych, kiedy czułam się bezradna przyszły dni, gdzie znów stanęłam do walki i nie licząc przegranych bitew, dążyłam do końcowego zwycięstwa. Wszystko to zmierza zawsze ku jednemu – realizacji celu!

Nagle budzisz się do działania, dostrzegasz to, czego inni nie widzą i zmieniasz swoje życie. Dzielisz je na „przed” i „po” diagnozie. Ja również zmieniałam swoje życie i to mi dało siłę, by walczyć z chorobą, strachem i chwilami zwątpienia, które niestety wracają. Postanowiłam nie poddawać się swoim słabościom i po każdym załamaniu wychodzić na prostą z jeszcze większą nadzieją na to, że nadal mam czas na życie, czas na marzenia i ich realizację. Nieważne, ile lat będę żyła w dobrym zdrowiu, ważne, że będę czuła, że przeżywam ten czas najlepiej, jak potrafię.

To jest najważniejsze, wyznaczyć sobie cele, dążyć do ich realizacji i czerpać z każdej chwili jak najwięcej, bo warto cieszyć się życiem, dopóki ono trwa

Postanowiłam sobie, że nie poddam się, do czasu, kiedy nie osiągnę swoich celów, że będę uparta i zawzięta w swoim postanowieniu. W takich przypadkach pomocni są przyjaciele, rodzina, znajomi, dobra lektura, no i taka nadzieja, że tak naprawdę nigdy nie jesteśmy sami i nigdy do końca nie przegrywamy.

Niestety, jak się okazuje, na drodze stają też „trudni nauczyciele”, którzy wykorzystują Twoją słabość (choroba), jako broń przeciwko Tobie. I masz trzy wyjścia: albo walczyć — mimo braku sił, poddać się lub po prostu zaakceptować ich słabość. Decyzja należy do Ciebie.



Moja rada: zanim podzielisz się z kimś informacją o Swojej „pięcie achillesowej”, zastanów się długo, czy ta osoba na to zasługuje, czy udźwignie ten ciężar i czy nie wykorzysta tego przeciwko Tobie. Zaoszczędzisz dzięki temu wiele stresu i niepotrzebnych nerwów. A ludzie bywają podli, szczególnie Ci, po których w ogóle się nie spodziewasz



Są też pseudo przyjaciele, którzy będą radzić. Uważają, że ich dobre rady są Tobie najbardziej potrzebne. Szczególnie w chwili, kiedy Ty potrzebujesz po prostu, aby ktoś podał Ci herbatę lub zrobił kanapkę. Wykonał prosty zwykły gest... Niestety zbyt trudny dla niektórych... Z tej lekcji wiem jedno: nie radzę, dopóki ktoś nie poprosi o pomoc. Samozwańczych doradców na świecie istnieje mnóstwo, a osób dających prawdziwe wsparcie niewiele. Czasami milczące bycie daje więcej, niż 20 minut monologu, jak to powinnaś żyć, jak się odżywiać i ile spać. Bywa również, że Ci pseudo przyjaciele jeszcze Cię dobijają swoim zachowaniem,

jakby mieli na celu Cię wykończyć. Tacy Twoi prywatni hejterzy nie zajmą się swoim bagnem, tylko włożą z brudnymi gumowcami do Twojego życia, szkodząc Tobie i Twoim najbliższym.

Jestem po kuracji, jest dobrze, a nawet bardzo dobrze. Nowe metody i podejście lekarzy przyniosły super efekt. Oczywiście pojawiły się też skutki uboczne: mocno przerzedzone włosy, 5 kilogramów mniej, dość aktywne bielactwo, trudności z jedzeniem (wszystko smakuje jak płyn do mycia naczyń). Lekarze mówią o mnie Czarodziejka! Tak mocno się zaparłam, że wyzdrowieję, że nie ma dla mnie rzeczy niemożliwych. Pomimo dużych kosztów leczenia (kuracja prywatna) dają radę. Najważniejsze, że wyniki są super. I takie już pozostaną!!! Bo tak zdecydowałam!

A teraz? Życie postawiło przede mną kolejne trudne zadania. Chyba mnie sprawdza, czy dam jeszcze radę. Może potem będzie super nagroda? Jestem zdeterminowana i nie odpuszczam. Dla siebie, dla dzieci, dla nas!!! Wszyscy, którzy staną mi na drodze pożąłują, że postanowili utrudniać życie mnie i moim dzieciom. Psychologowie twierdzą, że matka jest w stanie zerwać przeciwnika na strzępy w obronie dzieci... Lepiej niech tego nie sprawdzają!!!

Na podstawie osobistych doświadczeń stworzyłam program Mistrzyni Swojego Życia – Żonglująca Matka, w którym pomagam pracującym Matkom – wyczynowo żonglującym swoimi rolami życiowymi, odkryć ich dary i wzmocnić ich wewnętrzną siłę i potencjał tak, by mogły wreszcie delektować się swoim życiem, żyć w zgodzie ze sobą i swoimi wartościami, realizować swoje pasje i przede wszystkim być szczęśliwymi, pewnymi siebie i spełnionymi zawodowo kobietami.

Książka, którą trzymasz w dłoniach, jest dopełnieniem projektu i przestrzenią dla Twojego spotkania z samą sobą.

Co dalej?

Z natury jestem marzycielką. Ale też aktywatorem (wg alfabetu talentów Gallupa), więc co wymyślę, to od razu wprowadzam w życie. Chciałabym pomagać na dużo większą skalę, nie tylko w kraju. Chciałabym być dowodem na to, że się da! Że nie ma drogi bez wyjścia, że mimo błędów można mieć cudowne życie. Że błędy to lekcja, jak nie postępować więcej w ten sposób. Chciałabym, aby kobiety bardziej w siebie wierzyły, nie zamykały się w klatce, żeby dały sobie wolność. Chciałabym, aby mężczyźni byli mężczyźnami. Aby nie bali się odważnych kobiet. Nawet jeśli są zmienne. Nie grozi wtedy nuda. Chciałabym, aby osoby obojga płci czerpały z moich doświadczeń i sprawdzały je na sobie. W tej książce swoimi refleksjami podzielę się również Ci, którzy skorzystali z moich rad i wprowadzili je w życie. Piszą, co im to dało. Czytaj dalej.

Kocham życie, kocham ludzi, kocham nowe miejsca. Pragnę poznawać nowe, przekraczać nieprzekraczalne granice, smakować nieznanne smaki.

Chcę być SOBĄ. I JESTEM SOBĄ! Bo TAK!